**Niedokończona epopeja żurawia**

Żarzący się ledwo ogarek rzęził resztką swej mocy, kiedy płowożółty żuraw był w połowie epopei. Kutno, miejscowość, skąd pochodził, oddalona była pół mili od miejsca, w którym żył. Był teraz giżycczaninem, ale pół Polakiem i pół Francuzem. Rzadko wracał wspomnieniami do dzieciństwa – był arcymiłym ponaddziewięćdziesięcioletnim ptakiem, a wokół szyi miał bladoniebieskie rozcapierzone pióra. Jasnozielone oczy pochylone nad pożółkłymi, a miejscami szaroburymi kartkami niewiele już dostrzegały. W pamięci miał jednak swoje wyjazdy do Manili, gdzie mieszkała jego żona kukułka (zwana też przez niektórych gżegżółką). Nigdy nie był na Rzeszowszczyźnie, odmierzał probierzem czas, miał w swojej dziupli (a właściwie butwiejącym gnieździe) „Słownik języka polskiego”, „Małą encyklopedię Krakowa”, „Ilustrowaną historię świata”. Był trochę chaotyczny i niezorganizowany, miał uczulenie na herbatę z dziurawca, jadł dżdżownice, utrzymywał kontakty z Polonią amerykańską, uchodził za znawcę astronomii, historii –można rzec, że żył ciekawie i rozrzutnie. Wiedział, że należałoby od czasu do czasu odwiedzić gabinet geriatrii, ale zwlekał z tym, ho, ho, nie wiadomo jak długo. Żartowano z niego, że był niby-poetą. Nikt nie wiedział, że bał się pszczółki Mai, pustułki Grażynki i tego znanego chrząszcza ze Szczebrzeszyna, wszystko to bardzo skrzętnie skrywał, truchlał i drżał, gdy tylko o nich pomyślał. Nigdy nie pił espresso, oranżady, tylko wodę niegazowaną albo z kałuży. Miał talerzyk w różnokolorowe esy-floresy, jaskrawożółtą szkatułkę ze zdjęciem pięknookiej żony i pamiątkami z Białowieży. Raz na jakiś czas grał na waltorni albo harfie i co najmniej raz w roku uczestniczył w konkursie muzycznym.

Teraz, siedząc tak nad ciemnozielonym stołem, spojrzał spode łba wte i wewte, nie chciał napisać quasi-epopei, ale rzetelną i prawdziwą powieść. Rad nierad przystąpił do pisania. Zmitrężył tyle czasu na obserwowaniu przelatującej hałastry kukułek, kiedy był na Pomorzu Zachodnim, a potem na dwuipółtygodniowym urlopie na Kielecczyźnie, że aż się przeraził. Pomyślał, że nigdy nie powstanie kilkudziesięciostronicowe dzieło jego życia. Zjadł krwistoczerwony stek i doszedł do wniosku, że na wpół skończona epopeja będzie go też satysfakcjonowała i nie odmówi sobie ekstrapodróży w ciepłe kraje.